

POLE DO DZIAŁANIA

Nie trzeba już dziś nikogo przekonywać o ogromnej roli, jaką odgrywa nauka w życiu społeczeństwa. Stąd płynie coraz częściej wołanie o łączenie nauki z życiem, czyli o łączenie teorii (naukowej) z praktyką itd. Nie bez racji też w ostatnich dyskusjach nad rolą kultury nauki w nauce wskazywano, że w zasadzie dobrze jest, gdy teoria kieruje praktyką, w zasadzie zaś niedobrze, gdy praktyka orzeka, jakie poglądy ma głosić nauka. Chodzi bowiem o wzajemne przekazywanie doświadczeń; natomiast jednostronne komenderowanie nie może wyjść na dobre ani teorii ani praktyce. Nawet najbardziej doniosłe odkrycie naukowe ma swoją zawiłą stronę technologiczną, której opracowanie jest czasami równie skomplikowane, jak samo odkrycie. Wreszcie, żadne odkrycie naukowe nie jest realizowane przez samych odkrywców (teoretyków), lecz co najmniej dokonują się przy podstawowym udziale praktyków.

Nauka oddziaływała więc w dwu kierunkach: przekształca przyrodę — to jest jej główne zadanie —; przekształca jednak również świadomość samych jej twórców, przetrwałych i odbiorców — to jest jej wtórna, ale mimo to ważna rola. Nie można dokonać zmiany przyrody, nie przekształcając równocześnie świadomości ludzi, którzy są głównymi twórcami tej przemiany, czyli inaczej mówiąc, nie upowszechniając wśród nich naukowego poglądu na świat.

Upowszechnianie naukowego poglądu na świat jest również stare, jak sama myśl naukowa. Różne w toku dziejów były jednak formy upowszechniania. Obecnie czynności te mają charakter instytucjonalny i zawodowy. Najogólniej funkcje te spełniają szkoły, począwszy od szkoły podstawowej a na uniwersytecie i akademii skończywszy.

Rola uczelni

Zastanówmy się, jaka jest droga od naukowego rozpoznania (odkrycia) do jego praktycznego przyswojenia i zastosowania? Indywidualnych dróg jest bardzo wiele (książka, prasa, odczyt, osobisty kontakt, dyskusja itp.). Ważne jednak w obrocie społecznym są przede wszystkim drogi zbiorowe, powszechne. Otóż obecnie drogi te są już zbyt powolne. Na ogół z pracowni uczonego nowy pogląd dostaje się na uczelnię wyższą, gdzie przekazuje go się studentom; ci z kolei przenoszą go na niższe szczeble nauczania lub praktyki. Każdy człowiek (systematycznie) przechodzi tylko raz w życiu kurs teoretycznej i wyćwicznej wiedzy o świecie; później jest na ogół zdany na własną inicjatywę. Gdy nauka o świecie rozwija się powoli, powolne i elitarne tempo jej przyswajania odpowiada ogólnemu rytmowi życia. Z chwilą jednak gdy nauka ogarnia coraz większe zakresy życia społecznego — i w coraz szybszym tempie — tradycyjne formy przekazywania zdobyczy nauki okazują się niewystarczające. Dotyczy to nie tylko treści naukowego poglądu na świat, lecz także jego upowszechnienia w aspekcie przestrzennym i czasowym. Chodzi o to, aby zastępować drogi indywidualnego dokształcania — powszechnymi, aby przedstawiać cykl przyswajania wiedzy pokoleniami na ciągły pas transmisji między teorią a praktyką. Aby wreszcie rozszerzyć jak najbardziej krąg uczestników w ogólnym postępie nauki, a tym samym przyczynić się do upowszechnienia naukowego poglądu na świat, jako głównej dźwigni postępu.

W upowszechnianiu nauki trzeba z naciskiem podkreślić ośrodkową rolę uniwersytetów i innych uczelni wyższych. Znaczenie ich polega nie tylko na tym, że swym wychowaniem przyswajają one pewną, z istoty rzeczy ograniczoną część wiedzy o świecie, lecz przede wszystkim

Gerard Labuda

profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, sekretarz generalny Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

uczą ich metody naukowego myślenia, tzn. obdarzają ich tymi niezbędnymi narzędziami, które pozwalają im z kolei samodzielnie interpretować i objaśniać różne inne fakty szczegółowe wchodzące w zakres ich czynności.

Zadania towarzystw

Wynika z tego, że przedmiotem upowszechnienia musi być każdorazowo nie tylko postęp wiedzy o świecie, lecz także metody umożliwiające nam zrozumienie związków zachodzących między faktami i zjawiskami.

W krajach takich, jak nasz, który opiera swój przyszły rozwój na podstawach naukowych i jedną z głównych dróg prowadzących do tego celu upatruje w planowaniu tego rozwoju, upowszechnienie nauki jest otaczane szczególną troską. Jak wiadomo, od dawna taką nad wyraz użyteczną rolę spełnia Towarzystwo Wiedzy Powszechnej; na innym odcinku Naczelna Organizacja Techniczna, rozmaite organizacje i towarzystwa naukowe specjalistyczne, a także Wyższe Uczelnie, które obok swej stacjonarnej działalności prowadzą rozmaite studia zaoczne, eksternistyczne, kursy dokształcające itp. W ostatnim czasie coraz częściej wysuwa się postulat uczestnictwa w upowszechnieniu nauki pod adresem naczelnej instytucji naukowej w kraju, jaką jest Polska Akademia Nauk, a także pod adresem regionalnych Towarzystw Naukowych. W Polskiej Akademii Nauk powstała specjalna sekcja, która ma się zająć wypracowaniem założeń i metod upowszechniania, odpowiadających profilowi tej instytucji.

W Towarzystwach Naukowych (regionalnych) dyskusja nad upowszechnieniem nauki początkowo doprowadziła do bardzo rozbieżnych zdań. Przeważała opinia, iż Towarzystwa, jako organizacje twórczej pracy naukowej, nie powinny się zajmować jej upowszechnianiem, zostawiając to pole działania dla Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. U podstaw tego twierdzenia leży jednak nieporozumienie. Co innego i przed kim innym winno popularyzować naukę Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, co innego i przed kim innym — Towarzystwa Naukowe. Samo zadanie popularyzowania jest sprawą bezsporną. W statucie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk czytamy w § 5 poz. 7, że zadaniem tego Towarzystwa ma być „opracowywanie i upowszechnianie nowoczesnych metod naukowych”. Podobnie ujmują tę myśl statut Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego w art. 3 poz. b, iż Towarzystwo to „rozwi-

ą i propaguje nowoczesne metody naukowe oraz współpracuje w upowszechnianiu postępowej myśli”.

Punkt wyjścia

Zastanów się więc należy, jak realizować tę statutową zasadę? A realizując ją, jaki wybrać teren działania, aby nie wejść na drogę, którą już, być może znacznie lepiej, kroczy ktoś inny. Chodzi więc nie tylko o samą czynność, lecz także o jej koordynację z innymi instytucjami. Ta sprawa wymaga dyskusji i ciągłego ulepszania metod pracy. Jako punkt wyjścia dla działalności Towarzystw Naukowych można przyjąć zasadę, iż przedmiotem ich upowszechniania winny być przede wszystkim: 1) aktualny postęp nauki w zakresie nowych faktów, 2) nowoczesne metody badawcze i wynikające stąd nowe zastosowania praktyczne i 3) szerzenie naukowego poglądu na świat, ułatwiającego porozumienie między teorią a praktyką życia społecznego. Wydaje się również, iż Towarzystwa Naukowe, jako społeczne zrzeszenia naukowców, nie mogą podjąć się popularyzacji nauki i wiedzy o świecie wśród szerokiego mas społeczeństwa. W tym zakresie głównym działaczem winno pozostać Towar-

Dokończenie na str. 4

Poszukiwanie rozwiązań

Niecałe sto lat po I Soborze Watykańskim papież Jan XXIII zapowiedział zwołanie nowego Soboru Powszechnego. Potępione w 1869 roku „błędne nauki” przeistoczyły się z idej w rzeczywistość i wywierają zasadniczy wpływ na rozwój ludzkości. Na polowie globu zwyciężyła rewolucja socjalistyczna rozpada się system kolonialny, powstają nowe niepodległe państwa. Do rewolucji społecznych i politycznych doszła nauka i techniczna, a z nią postępujące zewszęcczenie nawet w krajach uważanych za bastiony katolicyzmu.

Przemiany w świecie uderzają w wiele podstawowych tradycji i wartości, od stuleci reprezentowanych przez Kościół, wstrząsając nieraz jego fundamentami.

Co i jak uczynić ma Kościół, by zmniejszyć dystans, oddzielający go od współczesnego świata, jakie zająć w nim miejsce, jakie stanowisko wobec jego węzłowych problemów? Od trzech lat za Spizową Bramą, i nie tylko tam, trwają dyskusje i spory na ten temat.

Nie sposób już traktować rozwoju

wydarzeń w świecie według koncepcji watykańskich z okresu pontyfikatu Piusa XII. Mimo to wiele czołowych osobistości Kościoła nadal wstrzymuje się z otwartym stwierdzeniem tej prawdy, uważając, że Kościół nie powinien przeprowadzać rewizji polityki określonej w „Syllabusie” — to jest przede wszystkim negacji socjalizmu — aby nie ryzykować błędów. Pewna liczba dostojników kościelnych jednak obawia się z ryzykiem zmian, przewidując, że trwanie na starych pozycjach może zwielokrotnić straty Kościoła. Różnice w stanowiskach mają charakter taktyczny, dotyczą metody.

Ostatnio publicysta Gino Fabbri, dotąd odrzucający jakiegokolwiek sugestie koegzistencji, napisał w organie mediolańskiej kurii kardynała Montini: „Polska jest w tej chwili strefą katolicyzmu, która przynosi najbardziej pobudzające wnioski na temat możliwości porozumienia pomiędzy kościołem katolickim a rządem komunistycznym”. I coraz większa liczba dostojników zdaje sobie sprawę, że zagadnienie stosunków z krajami socjalistycznymi należeć będzie na Soborze do najistotniejszych.

Osobny problem dla Kościoła stanowi tzw. „świat trzeci”, stosunek do państw nowo powstających. Kryzys Kościoła w krajach wyzwolających się z Afryki i Azji ma charakter wręcz rozpaczliwy. Rezultaty działalności misji katolickiej wśród ludów uzyskujących niepodległość po odejściu kolonialistów, okazały się znikome. Sobór będzie się zastanawiał nad sposobami przezwyciężenia kryzysu, wiadomo jednak, że ewentualne środki zaradcze w postaci zwiększenia misji czy ustanowienia prostszej liturgii będą tylko półśrodkami. Kraje nowe pragną doczekać się niezależności, a także dobrych stosunków z państwami socjalistycznymi. Ci, którzy te dążenia popierają, mają szanse pozyskania sobie narodów afro-azjatyckich, ci zaś, którzy je odrzucają — przegrywają. Watykan musiałby więc przystać na rozwijanie przez młode państwa przyjaznych stosunków z obozem socjalistycznym, musiałby

Dokończenie na str. 2

Józef Pieprzyk

Autorytety wiejskie

Dwa są pojęcia wsi. Jedno — ogólne — odnosi się do społeczności, utrzymującej się z pracy na roli w kraju, w województwie lub w powiecie. Stąd określenia: wieś polska, wieś wielkopolska, wieś chodzieska itd. Drugie pojęcie obejmuje konkretną jednostkę, czyli szereg gospodarstw o węższych granicach, z sołtysiem jako reprezentantem i władzą administracyjną. Wieś taka ma swój własny parlament — zebrania wiejskie, na których zapadają uchwały, dotyczące spraw wewnętrznych.

Gdybyśmy przyjrzeć się bliżej tej konkretnej wsi, stwierdzilibyśmy, że oprócz sołtysa i wspomnianego już „parlamentu” wiejskiego dużą rolę, a nieraz i zasadniczą, spełnia rada autorytetów.

Tej instytucji nikt nie powoływał do życia, jest ona nieformalna, tradycja sięga daleko w przeszłość. Dawniej autorytetami byli: proboszcz, dziś już zupełnie wyeliminowany dziedzic, najbogatsi gospodarze, którzy sobie podporządkowywali biedotę. Obecnie w składzie grupy autorytetów następują przesunięcia na rzecz najlepszych rolników, bo oni to coraz bardziej nadają ton życiu wsi. Najczęściej wśród nich znajdują się i sołtysi, ale są wypadki, że sołtys, przy którego wyborze decydują i takie zalety jak dysponowanie wolnym czasem, stąd łatwiejsze kontaktowanie się z władzą gromadzką i ze społecznością wsi, działa za radą albo pod naporem sił autorytatywnych, co w niczym nie osłabia jego znaczenia, gdyż jest czynnikiem, jednoczącym nie zawsze w zgodzie ze sobą żyjące rodziny, dającym gwarancję sprawiedliwości,

bezsoborności i budzącym swoją postawą szacunek ogółu.

Najlepsi rolnicy — to ci, którzy przodują w osiąganiu najlepszych wyników na polu i w hodowli, wprowadzają nowe metody pracy, jednym słowem — wprowadzają postęp. To budzi uznanie u ogółu mieszkańców. Opierając się na własnych obserwacjach i wywiadach, a także na wynikach badań dr. Dyzym Gałaj („Aktywność społeczno-gospodarcza chłopów — LSW 1961 r.”), stwierdzać musimy, iż do tych najlepszych, do grona autorytetów przez ważne należą rolnicy z ukończoną szkołą rolniczą lub dokształcający się indywidualnie za pomocą lektury fachowej i popularno-naukowej, zorientowani i zaangażowani w sprawach społeczno-politycznych, z dużą kulturą osobistą, przedstawiający sobą wartości moralne. A więc wymagania wsi są bardzo duże, byle „gardziaczowi” nie pozwolił sobą kierować, w myśl zasady: najpierw pokazać, co potrafisz, a potem mów.

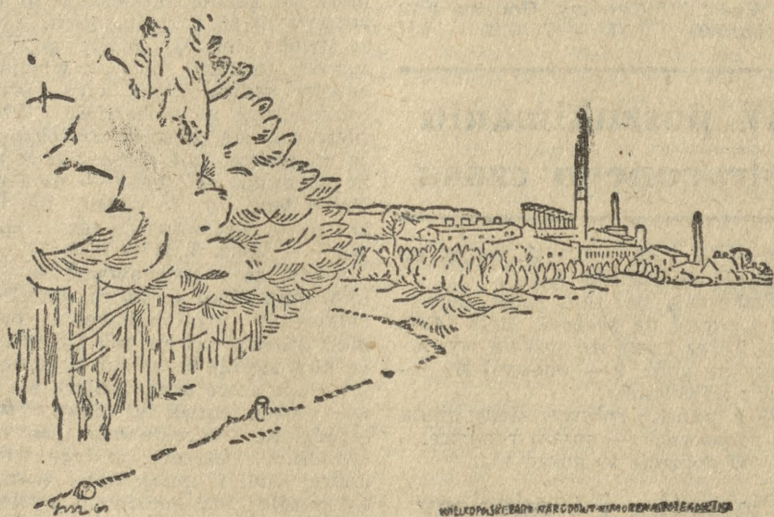
Zresztą autorytet nie potrzebuje wyróżniać się zdolnościami oratorskimi. Znam jednego z bardzo szanowanych i wpływowych członków spółdzielni produkcyjnej, którego jedno słowo znaczy więcej niż obfitość słów niepopartych czynną postawą aktywistą. Inny przykładał. Sama obecność autorytetu na zabawie wiejskiej w większości wypadków eliminuje wszelkie bijatyki, a nawet zmusza młodzież do ogólniejszego wypowiedziania się, aby tylko uniknąć Jego uwagi na temat kultury słowa.

Autorytet wiejski oddziałuje na wieś dwojako. Jego dobra gospodarka nie daje spokoju zafanowanym sąsiadom. Różnice przecież wywołują ambicje, nikt nie chce być gorszy, następuje zjawisko podciągania produkcji na wyższy poziom. O wiele większe znaczenie ma aktywna działalność dobrego rolnika. Widząc, że staje się przedmiotem zainteresowania wsi, że rośnie jego znaczenie, dąży do jeszcze lepszych wyników, dąży do powiększenia swojej roli, jaką odgrywa. Własne podwórko i pole stają mu się za małe. Udziela rad i wskazówek, wychodzi z inicjatywą dotyczącą nie tylko gospodarki, ale spraw ogółu. Dla poparcia swoich zamierzeń, szuka sprzymierzeńców u innych wzorowych gospodarzy, przekonuje sołtysa i radnych, przeciwnicy powoli ustępują, aby nie narazić się opinii autorytetów.

Tak podjętych zostało wiele czynów społecznych, doprowadzono prąd elektryczny, drogą dano twardą nawierzchnię, wybudowano szkoły, świetlice, remizy strażackie, naprawiono mosty, założono kanalizację, wodociąg, chodniki, kwietniki. Za przykładem rolników — autorytetów wielu wstąpiło do spółdzielni produkcyjnych, zakupiło maszyny i traktory w ramach kółka rolniczego.

Mówiłem o aktywnych autorytetach, należących raczej do młodszego pokolenia. Są jeszcze autorytety, utrzymujące się z tradycji dobrego gospodarowania w latach przedwojennych. Ale te już nie cieszą się wielkim uznaniem, toleruje się je z kurtuazyjnego szacunku. Również nieco inny jest charakter autorytetu inteligenta. Inteligent (lekarz, nauczyciel, księgowy itd.) musi na to sobie zarobić własną postawą wobec danego środowiska. Tej kategorii wieś daje posłuch nie w sprawach dotyczących produkcji, lecz estetyki, odżywiania, higieny, życia kulturalnego.

Znaczenie autorytetów jest wielkie. To pozwala sformułować dwa postulaty. Pragnę zmienić życie na wsi na lepsze, trzeba się oprzeć na autorytetach w działalności tak gospodarczej jak i społecznej. Świetny aktywista, nie mogący się wykazać dobrymi rezultatami w swoim gospodarstwie, mało co zdziała nawet najpiękniejszymi argumentami słownymi. Drugi postulat odnosi się do młodzieży wiejskiej. Kto z młodych pragnie odegrać pozytywną rolę w życiu wsi, musi zdobyć wiedzę fachową, korzystając z różnych form szkolenia: z kursów, z szkół i techników rolniczych, książek, i tak postępować, aby już wcześniej zasłużył sobie na uznanie. Im liczniejsza będzie na wsi rada autorytetów, tym łatwiej będzie mogła zdziałać więcej i lepiej dobrego dla ogółu konkretnej wsi, a w sumie — wsi w najszerszym tego słowa pojęciu — wsi polskiej.



Rysunek Stanisława Mrowińskiego

Bohdan Czarnocki

Optymistyczny powód zmartwień

Wydawany w Gdyni „Tygodnik Morski” od redakcyjny artykuł pt. „Żałoga na pokład”, w numerze z dnia 4 marca zaczął alarmistycznie: UWAGA! największy port na Bałtyku jest poważnie zagrożony. Do akcji przekreślającej niebezpieczny stan w tym porcie powinny natychmiast przystąpić Ministerstwa: Żegluga, Szkolnictwa Wyższego, Zdrucia, Oświaty, oraz sejmowa Komisja Gospodarki Morskiej i Żegluga, a ponadto WRN w Szczecinie. Każdy dzień zwłoki w podjęciu radykalnej decyzji sukcesywnie zmniejszać będzie wartość usług świadczonych przez port w Szczecinie...

Dramatyczny, ba historyczny nawet ton wypowiedzi gdyńskiego dziennikarza jest może w konkretnej sytuacji potrzebny, niemniej sugeruje bez mała kataklizm. A przecież i porty na wschodnim Wybrzeżu są w nie mniejszych kłopotach co — tu pozorny paradoks — może również przysporzyć optymistycznych refleksji.

4,5 razy więcej niż planowano

Pozwólcie, że nim przystąpię do szczegółowych wyjaśnień, odpowiem skąd minorowe akcenty w

Lata 60-65	415.000 DWT	101	statków	2833 marynarzy
Lata 65-70	1.000.000 DWT	159	statków	4779 marynarzy
Lata 70-80	1.641.000 DWT	261	statków	8056 marynarzy

Żegludze brakuje przede wszystkim oficerów. Kształcenie kandydata na najniższy stopień oficerski trwa minimum 5 lat. Jego przygotowanie kosztuje państwo ok. 300 tys. zł. Jest to suma znacznie wyższa niż potrzebna na edukację wysoko kwalifikowanego inżyniera. Czym się tłumaczy i uzasadniają tak wysokie koszty?

— Na jednego marynarza we flocie polskiej przypada 1,2 mln. zł do 4,33 mln. zł. Różnica wynika z różnorodności typów i wieku statków. Za tak poważny majątek narodowy od powiadają jedynie pracownicy najnowocześniejszych i w pełni zautomatyzowanych zakładów na lądzie. A do wartości statku doliczyć trzeba jeszcze cenę ładunku, niekiedy przekraczającą wartość statku.

W konsekwencji przytoczonych liczb współczesny oficer floty, musi — wbrew pokutującej tu i ówdzie legendzie, — posiadać połączony zasób wiadomości, by podać stale rosnącym wymaganiom. Oficer pokładowy np. zna nie tylko zasady nawigacji (astronawigacji, obsługi urządzeń radarowych, radio lokacyjnych, locję etc) lecz także towaroznawstwo, przedmioty medyczne, prawo morskie itd. Mechanik, zdany w czasie długiego rejsu na własne tylko siły i wiedzę, bez możliwości jakiegokolwiek konsultacji, musi znać silnik główny i mechanizmy pomocnicze, elektrownię statkową. Orientuje się w skomplikowanym systemie pomp, jest specjalistą od chłodnictwa, posiada też „smykałkę” majstra, zdolnego nie tylko pokierować remontem lecz także, kiedy zajdzie potrzeba, samemu pracować przy okretowej towarce, aparacie spawalniczym... Do tego konieczna znajomość języków obcych. Bez niej za granicą „nie rozoberiesz”.

Maluczko i przekonamy się, że pojęcie marynarza intelektualista nie jest zrodzone w umysłach fantastów i satyryków.

Wreszcie będą kadry

Gdy nie tak dawno szczecińskie dzienniki doniosły, że decyzją Ministerstwa Żegluga już w roku szkolnym 63/64 w Szczecinie rozpocznie działalność Szkoła Morska, gdy do publicznej wiadomości, przedostała się informacja, że startujące jesienią Technikum Rybołówstwa Morskiego ma szafy pełne podań od kandydatów do szkoły, w ludzi odpowiedzialnych za politykę kadrową wstąpił nowy duch. Oto nareszcie, chociaż z pewnymi oporami, ranga Szczecina w rodzinie portów bałtyckich znajduje potwierdzenie już nie tylko w efektach przeładunkowych, żeglugowych czy stoczniowej produkcji, lecz także umacnia się poprzez powoływanie do życia placówek i uczelni, będących naturalną bazą kadrową i naukową instytucji morskich.

cytowanej publikacji. Trudności kadrowe (bo o nie chodzi) wynikają z dynamicznego, zaskakującego nawet fachowców, rozwoju gospodarki morskiej. Stale pojawiające się przed wszystkimi jej resortami perspektywy, zmuszają do ciągłej korekty planów i zamierzeń. Sytuacja taka sprawia kłopoty i... jest powodem do dumy.

Kiedyś plany rozwoju floty zakładały czytelnicy jej wzrost na milion DWT. To mając na względzie w Szczecinie zlikwidowano szereg szkół, (m. in. Szkołę Morską) przygotowujących fachowców dla potrzeb gospodarki morskiej. Teraz wiadomo, że flota nasza osiągnie cztery i pół miliona DWT.

Stocznia buduje nowoczesne, o wysokim standardzie światowym, dziesięciotysięczniki w przeciągu roku. Technika budowy okrętów kształci się pięć lat. Polska Żegluga Morska (pozwólcie, że w tym liście ograniczę się do przykładów z jej podwórka) 31. XII. 1961 roku posiadała 67 statków, ale już w lutym br. miała ich 79 (!).

Oto tabelka tłumacząca przekonywająco, trudności szczecińskiego armatora. (dane przybliżone).

Lepiej późno niż wcale. Tak najczęściej komentuje się decyzje, na których podjęcie czekał Szczecin od wielu lat.

Jeszcze są braki. Jeszcze ten i ów urzędnik myśli, że żądania Szczecina, aby np. powołano do życia katedrę budownictwa okrętowego przy Politechnice czy zorganizowano morskie instytuty naukowe, są mrzonkami miasta o fałszywie rozbudzonych ambicjach. To nie ambicje lecz realne potrzeby dyktują postulat, bez spełnienia których porównywać będzie można miasto do kolosa o ptasim mózgu.

Niespożyta jest inwencja Polskiej Żegluga Morskiej, organizującej coraz to nowe linie. Stale zwiększają się kontakty szczecińskiego ośrodka żeglugowego z krajami afrykańskimi.

Dokończenie na str. 4

Michał Łuczak

Temida czy Godot?

Jeden ze znanych adwokatów obchodził niedawno 60-lecie pracy zawodowej. Kiedy jubilatowi składano gratulacje, przy którymś tam życzeniu zauważył:

— Właściwie ja pracowałem nie 60 lat, lecz 30.

— Jak to? — zawołano chórem.

— A tak, proszę państwa. Połowa mej działalności polegała na wycekiwaniu przed salami rozpraw na rozpoczęcie procesu...

Dowcip? Tak, ale ileż w nim prawdy! Można się o tym przekonać w gmachu sądów przy ul. Miłyńskiej. Na korytarzach tegoż przybytku Temidy prawie dzień w dzień dziesiątki ludzi oczekuje rozpoczęcia procesów. Siedzą, spacerują, przestępują z nogi na nogę. Palą papierosy, setki papierosów, dzemię. Co chwile spoglądają na zegarki. Pół godziny opóźnienia, godzina, dwie, trzy. Wciąż nowy papieros i kolejny spacer od okna do kolumny. Czekają adwokaci, prokuratorzy, świadkowie, biegli, oskarżeni, publiczność. Czekają wprawdzie krócej niż na Godota, ale często dłużej niż na prawdę trzeba.

Wokanda a rzeczywistość

Przykład I. — Śledziłem dokładnie sprawę oskarżonego E. J., która wpłynęła do Wydziału V Karnego Sądu Powiatowego dla m. Poznania. 10 listopada proces miał rozpocząć się o godz. 12. Początek nastąpił o 14. Wyznaczający terminy rozpraw po prostu zbyt mało czasu przeznaczył na rozpoznanie dwóch poprzednich spraw. Wezwani na ten dzień świadkowie czekali zupełnie

Współpraca koncernów USA i NRF

Jest tajemnicą poliszynela to, że między wieloma koncernami amerykańskimi i zachodniemieckimi istnieją bardzo zażyłe kontakty handlowe i finansowe. Natomiast godne uwagi wydaje się inne zjawisko, mianowicie obserwowany w ostatnich latach potęgający się wzrost współpracy między koncernami zainteresowanymi przede wszystkim produkcją zbrojeniową. Jedną z przyczyn tego zjawiska należy dostrzekać w tym, że w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Niemczech zachodnich istnieją wpływowe środowiska przemysłowe skłaniające popierać plan przekształcenia NATO w czwartą potęgę atomową. Podstawą dla kooperacji rozwijającej się na tym tle do starczyają budżety obu państw.

Budżet USA na lata 1962/63 jest rekordowo wysoki, wynosi bowiem 93 miliardy dolarów, z czego aż 53,8 miliarda przewidzianych jest na cele wojskowe. Również rekordowo wysoki jest budżet Niemieckiej Republiki Federalnej opiewający na sumę 53 miliardów marek. Z tego — jak oficjalnie podano — co najmniej 1/3 stoi do dyspozycji Ministerstwa Obrony. Sumki nie liche, więc nie dziwnego, że zainteresowały się nimi koncerny zbrojeniowe USA i NRF, nawiązując równocześnie wzajemną współpracę.

Na istnienie tych powiązań zwrócił niedawno uwagę ukazujący się w Indiach popularny tygodnik „The World”, powołując się w swym artykule na informacje ze środowisk amerykańskich i zachodniemieckich. Jak z nich wynika doszło do zawarcia porozumienia między „Glenn L. Martin Company” — Baltimore, jednym z najpoważniejszych koncernów amerykańskich zajmujących się produkcją broni atomowej, a „zachodniemieckimi” wspólnikami mającymi podobne przedsiębiorstwa. Koncern z Baltimore produkuje np. rakiety typu „Vanguard”, „Viking”, „Titan” i „Pershing”. Wspólnicy „Glenn L. Martin Company” na terenie Niemiec zachodnich wykorzystali przede wszystkim zainteresowanie brytyjskiego Ministerstwa Obrony baltimorskimi raketami, w wyniku czego na drugą stronę Atlantyku przekazano zamówienie na sumę pół miliarda marek.

Znacznie wcześniej nawiązane zostały amerykańsko - zachodniemieckie kontakty w dziedzinie energii jądrowej i to z pominięciem układów paryskich przewidujących międzynarodową kontrolę nad zbro-

jeniami Niemiec zachodnich. Okazuje się, że utworzona w Wolfsburgu w pobliżu Hanau „Nuklearchemie und Metallurgie GmbH - NUKEM”, o kapitale zakładowym w wysokości 4 milionów marek, przedsiębiorstwo stanowiące filię frankfurckiej „Degussa” (posiadającej patent na produkcję tzw. centrifugi gazowej, umożliwiającej taniej produkcję materiałów rozszczepialnych dla bomb atomowych) — jest finansowo silnie powiązana z amerykańskim koncernem „Mallinckrodt Chemical”, zajmującym się produkcją materiałów palnych dla reaktorów atomowych. Inna zachodniemiecka instytucja przemysłowa, „Interatom GmbH”, kontroluje wspólnie z amerykańską grupą Du Pont de Nemours koncern „Demag” w Duis-

Powiązania amerykańsko-zachodniemieckie rozciągają się także na inne dziedziny przemysłowe. Istnieją one np. między „General Electric” a koncernem „AEG”, między koncernem hutniczym „August Thyssen Hütte AG” a kontrolowaną przez Rockefellera „Armco International Corporation”. „Siemens-Schuckert-Werke” posiadają licencje „Westinghouse Electric” z Pittsburga związane z przemysłem elektrotechnicznym i hydraulicznym, produkującym sprzęt dla armii amerykańskiej. Silne kontakty łączą także koncern Morgana z zakładami Henschla w Kassel, a „Boelkow-Entwicklungs AG” w Ottobrun pod Monachium zainteresowana jest współpracą z „Daystrom Inc.” w New Jersey, które to

przedsiębiorstwo opracowało projekt sterowanej rakiet przeciwpancernej typu „Cobra”. Zajmująca się przeróbką rudy uranowej „Atlas Corporation” utrzymuje łączność z przedsiębiorstwem „Th. Goldschmidt AG” w Essen.

Tych kilka przykładów daje już pewien obraz ścisłej współpracy amerykańskich i zachodniemieckich koncernów zbrojeniowych. Kontakty te są wydatnie popierane przez rząd brytyjski, zwłaszcza przez jego Ministerstwo Obrony. Bo nie jest dla nikogo tajemnicą, że NRF nie widzi perspektyw na zrealizowanie swych planów remilitaryzacji bez oparcia o potężnych popleczników pozaeuropejskich. Ze na tych kontaktach więcej zyskują partnerzy zza oceanu, tym się nie martwią strasusowie. Wszak mają do dyspozycji bezwzględnie własnego społeczeństwa — podobną ofiarności i dyscyplinę, która nie zawodziła nawet wtedy, gdy się produkowało zamiast masła... armaty.

Lech Jeszka

Zbrojeniowy pomost

burgu oraz „Nord American Aviation”, produkującą urządzenia napędowe dla rakiet „Atlas”, „Thor”, „Redstone” i „Jupiter”.

Jeden z najpotężniejszych koncernów przemysłu lotniczego w Ameryce — „United Aircraft Corporation” — posiada 43 procent udziałów w „Weser Flugzeugbau GmbH” w Bremie. Przy poparciu koncernów amerykańskich „Degussa” otrzymuje z Argentyny wartościowe koncentraty uranowe służące do produkcji broni jądrowej. Dzieje się to także z pominięciem postanowień międzynarodowych. Ciekawe, że odgrywający się od produkcji zbrojeniowej znany koncern Kruppa posiada około 50 procent udziałów w bremeńskim „Weser Flugzeugbau”.

Poszukiwanie rozwiązań

Dokończenie ze str. 1

zarazem zrezygnować z przymierza z państwami kolonialistycznymi, na przykład Portugalią, związaną bardzo ściśle z kuria rzymską.

Niewątpliwie pewne propozycje wysuną na Soborze nieliczni biskupi z Afryki i z Azji. Zapewne będą się domagać większej decentralizacji władzy Watykanu, większej samodzielności poszczególnych episkopa-

tów. Zwolennicy takich reform znajdują się również w murach Watykanu.

Charakterystyczna dla przedsoborowego klimatu w Watykanie jest sprawa książki jezuitę ojca Lombardiego. W książce zatytułowanej „Sobór” Lombardi wystąpił z kilkoma propozycjami reform, wcale zresztą nie radykalnych. Proponował większą decentralizację kurii rzymskiej, taką politykę osobową, by skład narodowościowy kurii rzeczywiście odzwierciedlał kościół powszechny, by w kurii i innych instancjach kościelnych wprowadzić limit wieku i sędziwych kierować na emeryturę. Występował również O. Lombardi za pewną demokratyzacją w diecezjach, by „monolog biskupa” zastąpić „dialogiem z duchownymi”. Domagał się też „zmniejszenia różnic ekonomicznych” pomiędzy poszczególnymi reprezentantami kleru.

Książka została opublikowana za zezwoleniem i imprimatur biskupa, jej autor uzyskał papieskie błogosławieństwo. Jednakże miesiąc po ukazaniu się jej, dziennik „Osservatore Romano” wystąpił z druzgocą krytyką, określając tę publikację nawet jako antypapieską.

11 października tego roku rozpoczęło się II Sobór Powszechny. Komisje przygotowawcze omawiają problemy, które mają być przedstawione pod obrady. Z całego świata nadesłano około 2000 wniosków i propozycji, to jest 4 razy więcej niż na I Sobór. W Watykanie i kurii rzymskiej toczą się dyskusje, trwają spory. Zwolennicy „krucjaty” paccelianskich metod nie ustępują.

Trudno przewidzieć, czy zwycięży realizm i zdrowy rozsądek, czy na Soborze przeważą koncepcje, które by zatrzymały proces odsuwający Kościół od człowieka współczesnego.

W. W.

W poszukiwaniu straconego czasu

8.30 — IV 8.40 — V” itd. itd. aż do godz. 13.30 (sprawa XII) ...

Przed salą stał tłum ludzi. Reporter spojrzął na zegarek. Była 14.05.

— Teraz toczy się sprawa wyznaczona na godz. 9 — odezwał się jeden z adwokatów.

— A pańska sprawa, kiedy miała się rozpocząć? — spytał reporter.

— O godzinie 10 minut 15...

Pieczętka i 6 miesięcy

W sądzie trzeba czekać nie tylko na rozpoczęcie procesu. Również na załatwienie formalności. Jeden z obrońców opowiadał dziennikarzowi, że w Wydziale VIII Cywilnym Sądu Powiatowego dla m. Poznania złożył odpis wyroku. Cho-

dziło o przybicie pieczętka „klausuła wykonalności” i podpis sędziego. Jak myślicie, drodzy Czytelnicy, ile czasu potrzebowano na załatwienie tej formalności? Tydzień, a może miesiąc? Wiem tylko tyle, że więcej niż pół roku! Więcej — bo odpis leży już 6 miesięcy i jeszcze nie zdążyło przybici pieczętka i złożenie podpisu.

Można inaczej

Rozumiemy nietrawną sytuację sądownictwa. Wiadomo: szczytłość sędziowskiej kadry, wybiegi oskarżonych, zdarzająca się jeszcze nieobowiązkowo ławników i — z drugiej strony lawina spraw. Wszystko to nie usprawiedliwia jednak opisanych na wstępie zdarzeń. Nie może być regułą, że każda rozprawa rozpoczyna się z opóźnieniem. Myślę, że byłoby inaczej, gdyby przyjęto zasadę: terminy rozpraw wyznacza zawsze sędzia, który zna sprawy umieszczone na wokandzie. Wtedy nietrudno się przecież zrehabilitować, że na rozpoznanie sprawy Iksa trwało 30 minut, a Igreka — dwa dni. Tylko ten, kto nie widział na oczy akt może mechanicznie pisać: sprawa I — godz. 8. II — 8.30, II — 9.

Jasne, że rozpoznawanie w jednym dniu kilku spraw uniemożliwia całkowicie wyeliminowanie opóźnień (niemal zawsze tak się zdarzy, że ktoś się nie stawi lub zostaną ujawnione nowe okoliczności). Na pewno można jednak zlikwidować wielogodzinne oczekiwania stron i świadków. Potrzeba do tego trochę dobrej woli i umiejętności wczucia się w rolę ludzi godzinami wystających na korytarzach.

Zwykło się mówić i słusznie, że Temida jest nierychliwa lecz sprawiedliwa. Względny humanitarne i ekonomiczne przemawiają za tym, by owa przysłowiowa nierychliwość jak najszybciej znalazła się w sferze wspomnień.

W 25 rocznicę antyfaszystowskiej akcji młodzieży U. J.

Wit Gawrak

KRAKÓW NIE BYŁ NORYMBERGĄ

Kraków lat trzydziestych. Mozaika różnorodnych epok, tradycji i środowisk. Mieszkanina łatwopalna i eksplozywna. Nazywano Kraków miastem kościołów i emerytów. Lecz prawem kontrastu — zapewne — w żadnym z przedwojennych miast polskich nie było tak wartkiego, postępowego nurtu intelektualnego. Mówiono — Kraków to miasto średniowiecznych cechów i rzemiosła. Lecz zarazem mocno opóźnione kielki kapitalizmu przemysłowego i handlowego rozwinęły w tym mieście najbardziej bojową formację klasy robotniczej.

Tak oto, kontrastowo i zarazem dynamicznie formowała się sceneria dla pamiętnych wydarzeń z okresu drugiej połowy lat trzydziestych w „królewskim i stołecznym” mieście Krakowie.

W 1936 roku napięcie polityczne osiągnęło tu swoje apogeum. Długotrwały kryzys ekonomiczny wyczerpał cierpliwość robotników i biedoty urzędniczo-rzemieślniczej. Kiedy na wiosnę 1936 r. policja urządziła masakra strajkujących załóg „Semperitu” i „Sucharda”, robotnicy wyszli na ulice miasta. Bataliony policyjne otwały ogień do demonstrantów, zabijając i raniąc kilkadziesiąt osób.

Demonstracje bojówek ONR

Rząd sanacyjny brał kurs na faszystację. W lipcu 1936 roku wybucha wojna domowa w Hiszpanii. W Niemczech oddziały SS i SA zupełnie otwarcie przed całym światem stosują terror i okrucieństwo na niespotykaną skalę. Niemieckie oraz włoskie dywizje faszystowskie gorliwie wspierają w Hiszpanii oddziały generała Franco.

Bierze kurs na faszystację również rada miejska „królewsko-stołecznego” miasta Krakowa pospołu z senatem akademickim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Reakcyjne siły Krakowa zaczynają formować własne bojówki faszystowskie, tworząc swą główną bazę organizacyjną i ideologiczną na uniwersytecie. Mając zdecydowaną przewagę liczebną, mając

za sobą poparcie władz akademickich, reakcyjne elementy mieszczańskie próbują demonstrować swą siłę wobec robotniczego Krakowa właśnie na terenie odwiecznej Alma Mater.

Coraz częściej okolice gmachu uniwersyteckiego przemieniają się w miniaturę Norymbergi. Setki, tysiące ONR-owskich manifestantów ze wzniesionymi po hitlerowskiemu rekoma, napady bojówek ONR, mundury i okrzyki...

Jesienią 1936 roku bojówki ONR „zdobyły” pewnego dnia gmach uniwersytetu, a pod ich osłoną około tysiąca młodych faszystów zablokowało budynek uniwersytecki. Celem było zademonstrowanie ONR-owskiej wszechwładzy na uczelniach polskich. Senat akademicki z życziwą bezczynnością obserwował praktyczne zamknięcie uczelni dla całej przecież młodzieży uniwersyteckiej.

Ale Kraków nie był Norymbergą!

Odpowiedź lewicy studenckiej

Jeszcze tej samej nocy około 60 przedstawicieli studenckiej młodzieży lewicowej samorzutnie zgromadziło się w domu akademickim. Pod osłoną nocy wyważono bramę od tyłu gmachu uniwersyteckiego i wtargnięto do środka. Tysięczna hałastrza bojówkarzy i korporantów salwowała się sromotną ucieczką w przekonaniu, że rusza na nią cały robotniczy Kraków. Niektórzy — odnotujmy ten fakt z wyrozumiałością — umykali w mroku nocy najdokładniej w samych kalesonach. Przytoczone tutaj proporcje liczebne mogą wydać się przesadzone, lecz są całkowicie prawdziwe.

To czego nie potrafili a raczej nie chcieli dokonać władze akademickie i państwowe, zrobiła sama młodzież. Otworzyła sobie z powrotem drzwi uniwersytetu. Otworzyła też sama nową, ważną i płodną w skutki rozdział wiedzy politycznej głoszącej: „Na faszystów jest jedna jedyna recepta. Na każdy ich cios odpowiadać ciosem podwójnym”.

Zadecydowała samodyscyplina

Skompromitowani faszysty próbowali odegrać się w następnym roku. Postanowili mianowicie zdobyć w wyborach samopomocową instytucję studencką, tak zwany Bratniak. Faszystowsko-reakcyjne

elementy, posiadające wyraźną liczbową przewagę na uniwersytecie, w Bratniaku znajdowały się dotychczas w mniejszości, jako że synal-kowie zamożnego mieszczaństwa mało byli zainteresowani w działalności tej instytucji (domy akademickie, stołówki, wypożyczalnie skryptów itd.). Nadto robotniczo-chlopska młodzież lewicowa utrzymywała szeroki a mądry sojusz ze studentami bezpartyjnymi i z demokratycznym odłamek młodzieży prorządowej.

Nie mając szans zdobycia Bratniaka w wyborach, faszysty zastosowali podstęp. Tuż przed wyborami wpisali do Bratniaka kilkuset kleryków i medyków, którzy posiadali własne, odrębne instytucje samopomocowe. Nie należeli też nigdy do Bratniaka.

To oszustwo wyborcze przyniosło im nieznaczną przewagę liczebną w głosowaniu. Bratniak, domy akademickie miały więc przejść w ich ręce.

Tym razem sami faszysty przyczynili się do antyfaszystowskiego uświadomienia młodzieży lepiej niż mogliby to uczynić najzdolniejsi aktywiści lewicy.

Spontanicznie i masowo, jak nigdy dotąd, lewicowa młodzież U. J. — zwłaszcza niezamożna młodzież ze wsi, dla której domy akademickie były jedyną szansą nauki na uniwersytecie i która budowała kiedyś te domy własnymi rękoma — zorganizowała polityczną demonstrację przeciwko oszustwu wyborczemu faszystów.

Dom akademicki obstawiała w nocy milicja studencka. Nad ranem transparenty na gmachu przestrzegały: „Nie oddamy naszych domów faszystom”. Władze akademickie, które aprobowaly oszustwo wyborcze i odrzuciły protest młodzieży lewicowej, a także władze państwowe, grzecznie powiadomiono, iż Bratniak nie będzie przekazany faszystom.

Nastąpiła długotrwała blokada domu akademickiego, jakże zasadniczo odmienna w swych motywach od zeszłorocznej blokady uniwersytetu przez faszystów.

Przez dwa miesiące lewicowa młodzież akademicka prowadziła samodzielnie wszystkie agendy Bratniaka. Przez dwa miesiące, mimo wrogiej postawy władz państwowych i akademickich, mimo prób napadów bojówek ONR i mimo dramatycznego braku środków administracyjnych, wielkim domem akademickim pod osłoną własnych straży.

— i tylko — czynnikiem ożywienia intelektualnego, zwiększenia ambicji artystycznych, wzrostu znaczenia itd.

Niedobrze tylko, że te ich słuszne skądinąd pretensje do samych siebie stają się obiegowymi stereotypami pojęciowymi, że — co więcej — stereotypy te wchodzą na stałe w obieg myślenia niektórych działaczy, redaktorów — ja wiem, kogo jeszcze? Może i szerszych kręgów społecznych, czytelników, odbiorców?

Chociaż nie — czytelnicy wiedzy chyba swoje, skoro książki poznańskich autorów, książki Wydawnictwa Poznańskiego, nie zalegają półek księgarskich, są czytane, rozchodzą się, a zatem wywierają wpływ etc. bomba.

Przyjął się zresztą jeszcze jeden stereotyp, nie wiadomo skąd rodem. Ołóż twierdzi się również, że sztuka nowoczesna — a więc i zapewne literatura współczesna, przynajmniej ta poetycka — terroryzuje niewinnych obywateli naszego kraju. Można sobie głowę ukieć ze zdziwienia, ale tak się istotnie twierdzi. W Poznaniu.

Spojrzałem więc jeszcze raz z nieufnością po znanych mi twórcach poznańskich. Spojrzałem i na wymienione uprzednio nazwiska literatów. Jakoś mi nie wyglądały na ultrasowsko-modernistycznych. Wiem zaś i to, że ludzie kupują ich książki z własnej dobrej woli, czytają też bez najmniejszego nacisku, nieprzymuszani. Jeśli natomiast kupować i czytać nie chcą, twórcza chodzi w łatanych portkach i przydeptanych pantoflach.

A zatem, czyżby zmuszani byli, bądź się zmuszali do lektury ci, którzy te wszystkie strachy widzą. Też nie sądzę. Podejrzewam ich raczej, że nie hanbią się żadną lekturą, i to od dłuższego czasu. W związku z czym nie poróżnia oddzielić czarnego od białego, ziarna od plewy. I tak toczy się owa radosna walka z wiatrakami i wiatraczkami.

Sprawia to może nawet pozór jakiejś walki, ale jakże żalony — i daleki od poważnej i przekonującej dyskusji artystycznej i ideowej.

Samodyscyplina młodzieży lewicowej, duch koleżeństwa i obowiązku stały się wówczas zjawiskiem uderzającym wszystkich. Tak pilnie uczące się młodzieży jeszcze nigdy nie oglądały pokoju i świetlice domu akademickiego.

Przez dwa miesiące wydawano regularnie własne pismo informacyjno-satyryczne „Blokadol”, który cieszył się zgoda niezwykłym powodzeniem. Cena jednego egzemplarza „Blokadolu” osiągała na mieście 5 zł, co było absolutnym i wszechświatowym rekordem powodzenia pisma tego typu.

Przed paroma laty
Gdy Bratniak był w nędzy
Nie chcieli się wpisać
Nie mieli pieniędzy...

Droży teolodzy
I wy soda — lisy
Pytamy was dzisiaj
Skąd macie na wpisy?

Studium wiedzy o faszyzmie

Nadchodził dzień 1 Maja. Władze prokuratorskie podjęły już kroki przeciwko organizatorom blokady. Senat akademicki wytoczył

sprawę przywódcom młodzieży lewicowej. Hurtem odbierano stypendia „blokadowcom”. Zbliżały się wreszcie egzaminy roczne. Kontynuowanie blokady w tej sytuacji byłoby oczywistym błędem. Postanowiono więc zakończyć ją w dniu demonstracji pierwszomajowej.

Ten dzień przejdzie na zawsze do historii Krakowa. Nigdy jeszcze Polska nie widziała równie porywającej manifestacji robotników i studentów. Tysiące rozpromienionych twarzy. Salwy radosnych okrzyków, płomienne pieśni nieprzebranych tłumów docierały chyba wówczas poprzez brunatną Rzeszę do bohaterskiej Hiszpanii.

Tak oto zaczęliśmy studiować mądrą wiedzę o walce z faszyzmem, która niebawem przydała nam się na skalę nieporównanie rozleglejszą.

W dwa lata później wychodziliśmy naprzeciw faszystowskiej armii napastniczej w szeregach robotniczych batalionów obrony Warszawy. W 1945 roku zakończyliśmy antyfaszystowski egzamin w hitlerowskim Berlinie i wreszcie przed samym Trybunałem Norymberskim...

Kraków nigdy nie był Norymbergą!

Józef Hałagowski

Plastyczny konik

Nie lubię słowa „hobby”. Na leży ono do uprawianego jeszcze tu i ówdzie nabożeństwa do tego wszystkiego, co obce. „Hobby” uparło się i chce pozostać w naszym słownictwie. Dlaczego nie zrehabilitować naszego polskiego słowa „konik”? „Konika” swojego miał także Staszic, który lubował się... w stolarce. Dziś wachlarz zainteresowań znacznie się rozszerzył. Jedni trudnią się wędkarstwem lub zbieraniem znaczków, inni — pudełek zapalczanych, a jeszcze inni — „ekslibrisów”.

Wyższy stopień „konikowania” — to ruch amatorski. Zespoły chórów śpiewają przecież nie dla zarobku. Śpiew daje im wewnętrzne zadowolenie. To samo można powiedzieć o amatorskich zespołach teatralnych. Cała przyjemność po stronie wykonawców, gdy po trudzie przygotowawczym, kosztującym wiele czasu i wyrzeczeń, wracają do swoich domów z echem większych czy mniejszych oklasków, których przecież nigdy nie zamieniają na pieniądze.

Amatorzy — plastycy? Na ostatniej naradzie, zwołanej przez Wojewódzki Dom Kultury i Wojewódzka Komisję Związków Zawodowych jeden z zaprzyjaźnionych tej muzyce opowiadał, że co roku dla wypoczynku jedzie w inne strony kraju zabierając ze sobą bagaż z farbami i pędzlami. A ile po pracy poświęca czasu w domu przy sztaludze, nikt nie policzy. Daje mu to zadowolenie. Nikt też nie policzy, ilu jest takich amatorów. Na wspomnianą naradę przybyło ich około stu w wieku bardzo różnym, od siwego Piotra Mroza z Czarnkowa do młodzieńczego Stanisława Szymczaka z Witaszyc, z wykształceniem: od podstawowego po uniwersyteckie. Ale to tylko cząstka, na pewno jest ich kilka razy więcej.

Ci z dużych miast umiejętności swoje mogą podnosić przez osobiste kontakty z zawodowymi plastykami, przez częste zwiedzanie wystaw, kupowanie wydawniczych nośności artystycznych na temat form i techniki rysunku, malarstwa czy rzeźby. Gorzej z tymi, którzy tkwią w miasteczkach i wioskach, zdani na własne siły, dochodząc do pewnych wyników nie zawsze po prostej drodze; wstydzą się też niekiedy swoich prac.

Realizujemy obecnie 2-letni plan upowszechniania plastyki. Z dużym prętem uznaniem należy powitać inicjatywę WPK i WKZZ; obie instytucje postanowiły przyjąć z pomocą amatorom — plastykom. Już na wspomnianym spotkaniu dyr. Społecznego Ośrodka Kultury Plastycznej Rajmund Dybczyński zapoznał zebranych z procesem powstawania dzieła sztuki i tym jak należy na nie patrzeć. Wizualna lekcja była krótkometrażowe filmy. Na maj zaplanowano 2-tygodniowe

plenery, w czasie których uczestnicy zaznajomią się z wieloma problemami plastycznymi pod kierunkiem zawodowych artystów. Powstała także przy WDK sekcja amatorów — plastyków. Istnieje już specjalne poradnictwo fachowe.

Akcja ta, mająca na celu podniesienie poziomu amatorskiego ruchu plastycznego, zawiera jednak w sobie pewne niebezpieczeństwa. Dotychczas amator działał pod naporem własnych zamiłowań i środowiska. Jedną i drugą siłą stanowiła dla niego duże przeszkody. Pierwsza: nie tak łatwo wypowiedzieć, co się czuje i pragnie za pomocą efektów wizualnych. Druga przeszkoda — to środowisko. Ma ono swoje utarte gusta, ocenia według starych norm, często zamawia u amatora obrazek, dyplomik z okazji jakiegoś jubileuszu, piaskorzeźbę itp., ale broń Boże, gdyby artysta zastosował któryś z nieznanych mu, a modnych w świecie zawodowym, kierunków! Nie dziwny się temu zjawisku, nie jesteśmy narodem o tak wysokiej kulturze plastycznej, jak na przykład Holandia lub Meksyk.

Teraz do tych dwóch czynników ma dojść trzeci: instruktor-doradca-fachowiec. Tak już bywa, że każdy z profesorów szkół plastycznych często mimowoli narzuca swoim uczniom nie tylko umiejętności, ale swój sposób widzenia artystycznego. To powoduje, że mniej samodzielnie adept tej sztuki staje się epigonem mistrza. Mówię tu o tym, bo chodzi mi o dobrze przemysłaną pomoc artystów — plastyków, aby nie hamować indywidualności amatorskich. Gdyby znana ludowa rzeźbiarka Klara Prillowa z Kcyni uległa jakiegokolwiek „szkole” plastycznej — przestałaby być sobą i straciłaby na znaczeniu. Zadanie więc niełatwe, zadanie pedagogiczne, wymagające dużego taktu, wyrozumienia, serdeczności, życzliwości i zupełnie innych kryteriów ocen niż te, które stosuje się wśród zawodowców.

Nie można też zapominać o środowisku, w którym działa amator, aby nie znalazł się w zbyt wielkiej z nim kolizji. Ale równocześnie poprzez tego amatora można środowisku temu przybliżyć świat piękna barw i form, ułatwić mu zrozumienie dawnej, dzisiejszej i jutrzejszej sztuki, wzbudzić zapotrzebowanie na dobre dzieła.

Amatorstwu w dziedzinie plastyki ze strony dyplomowanych artystów — jak zauważyłem — towarzyszy obawa o konkurencję. Moim zdaniem, jeśli ten ruch amatorski stanie na takim poziomie, że stać go będzie na współzawodnictwo — osiągnie się maksimum tego, co można sobie życzyć. To jednak sprawa dalekiej przyszłości. A jeśli znajdą się wyjątkowe talenty — plastycy z profesji winni im tylko podać rękę. Z amatorów przecież także wyszedł sławny Vincent van Gogh.

Feliks Fornalczyk

Mitologia i realizm

W różnych porach roku, przy różnych okazjach, można w Poznaniu usłyszeć opinie, że Wielkopolska nie ma środowiska literackiego, omalże nie ma literatów. Nic prostszego — nie ma kogoś czy czegoś, nie ma problemu.

Być może, że temu lub owemu odpowiadały takie załatwienie sprawy, ale tak przecież nie jest i jakoś nie chce być. Nie dziwiliby, gdyby takie mniemanie rozpowszechniali ludzie „zza granicy”, nie przychylni Poznaniowi. Ale akurat ta bliższa i dalsza „zagranica” ma nienajgorzej zdanie o autorach poznańskich. Bo to też prawda.

Świeży dowód miałem niedawno w Brnie, gdzie w trakcie rozmowy z tamtejszymi kierownikami literackimi teatru miałem okazję posłyszeć nieraz pytanie: co to jest u was z Romanem Brandstaetterem? Dlaczego się nie gra w Polsce jego sztuk? Czesi byli w o tyle lepszej sytuacji, że interesują się twórczością dramatyczną Brandstaettera, tłumaczą go i wystawiają w teatrach.

To jeden przykład, ale można przecież podać i dalsze nazwiska mieszkających w Poznaniu literatów, którzy przynoszą naszemu miastu sławę, sporo wydają, są tłumaczeni poza granicami Polski. Wymienimy choćby Arkadego Fiedlera, a przecież takich poznańskich autorów o poziomie ogólnopolskim i takimż przynajmniej rozgłosie żyje w naszym mieście więcej.

Oprócz Brandstaettera, Fiedlera należy do tej czołówki literackiej na pewno Kazimiera Iłkiewiczówna, Wanda Karczewska, Aleksander Rogalski, Bogusław Kogut, Eugeniusz Pauksta, Leszek Prorok, dotychczas zaś już do nich Przemysław Bystrzycki, Gerard Gór-

nicki, Jerzy Korczak i inni, znacznie młodsi.

Mogą się oni nie podobać komuś, ale nikt nie może powiedzieć, że ich nie ma, istnieją bowiem, piszą, umieją pisać.

Dochodzi zatem do przedziwnego paradoksu. Oto oddział poznański Związku Literatów Polskich zreszta 31 członków, znajduje się na pewno w

Rozmyślenia o literaturze

pierwszej piątce miast literackich pod względem liczebności, a swoimi inicjatywami (choćabyż Jesień Poetycka, Seminarium dla młodszych pisarzy Ziemi Zachodnich), wartości publikacji, i także ich ilością (pisarz legitymuje się przecież swoją twórczością, książkami) kwalifikuje się do pierwszej trójki największych ośrodków literackich kraju, tymczasem — jakby nigdy nic — mówi się, że to lipa, mgła, zero.

W dziedzinie uznania tego, co mamy, należymy najpewniej do największych rozrzućników w świecie, bowiem mało kto mógłby się zdobyć na tak wielki luksus lekceważenia i niedostrzegania własnych twórców. Nawyk ten powstał zapewne ślad, że sami miejscowi literaci patrzą na siebie surowiej i ostrzej niż gdzie indziej, że sami przy różnych okazjach wypowiadali się z niezadowolaniem o tak zwany środowisku literackim. Czy ono jest w Poznaniu, czy go nie ma — określali nie raz, zawsze z pretensjami, zawsze z przekąsem.

Ale, na miły Bóg, im przecież nie wypada inaczej! Dobrze, że są z siebie niezadowoleni, bo to może być zawsze

POLE DO DZIAŁANIA

Dokończenie ze str. 1

rzystwo Wiedzy Powszechnej. Natomiast Towarzystwa Naukowe winne kierować się do ludzi, którzy przeszli systematyczny kurs naukowego myślenia na uczelniach wyższych. Rozumieją oni język naukowy i z kolei potrafią go przełożyć na język potoczny. Będąc samymi aktywnymi uczestnikami praktycz-

nego życia zawodowego mogą podjąć się roli pośrednika między teorią a praktyką. Odbiorcami tego rodzaju upowszechnienia mogą więc być przede wszystkim wychowankowie szkół wyższych, którzy siłą rzeczy stracili już kontakt z pracownikami naukowymi i nie dotrzymują kroku aktualnemu postępowi nauki.

Nauka — praktyka

Cele upowszechnienia nauki prowadzonej przez Towarzystwa Naukowe mają jednak zakres szerszy. Również tzw. naukowcy mogą zyskać wiele nowych pobudek ze strony praktyków. Krótko mówiąc, rezultat ogólny tej akcji winien doprowadzić z jednej strony do oświecenia naukowców (zwłaszcza młodych) z praktyką, a praktyków (zwłaszcza starszych) z postępem nauki. Pole pracy w tym zakresie jest rzeczywiście olbrzymie.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk już weszło na drogę realizacji upowszechniania nauki. Zarząd Towarzystwa powołał osobną Komisję Upowszechniania Nauki pod przewodnictwem prof. Michała Szaniewskiego i przy współudziale prof. Jerzego Topolskiego. Komisja ta wypracowała wstępne założenia swego programu działalności, której pierwsze rezultaty zostaną przedstawione już jesienią bieżącego roku.

Jest rzeczą istotną, że nasze Towarzystwo Przyjaciół Nauk pragnie otworzyć tym samym przystęp do nauki szerszym niż dotąd rzeszom przyjaciół nauki.

GERARD LABUDA

Optymistyczny powód zmartwień

Dokończenie ze str. 2

skimi, na Zachodnim Wybrzeżu działają dwa potężne kombinaty rybne, Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Gryf” i „Świnoujska, Odra”. Dla ich prawidłowego funkcjonowania potrzebna jest także baza naukowa, potrzebni są coraz to nowi ludzie.

„Niebieskich ptaków” nie potrzebuje

Do redakcji, w której pracuję, niemal codziennie napływają listy od entuzjastów morza z całej Polski. Powiadacie — piszą do nas — o trudnościach kadrowych, a czemu mimo nich trudno zamustrować na statek. Fakt. Trudności z przyjęciem do floty były i nadal — choć w nieco mniejszym stopniu — są. Marynarz musi posiadać przecież nie tylko określone kwalifikacje zawodowe, lecz winien także odpowiadać wymaganiom stawianym przez komisję lekarską. A przede wszystkim, co tu ukrywać, do floty nie przyjmuje się niebieskich ptaszków, ciągnących na morze dla taniej przygody i nie zawsze uczciwych zarobków.

A propos zarobki marynarzy. Wiele na ten temat zrodziło się plotek. Lecz o tym, że marynarz jest w kraju istotą nieznana napiszę w następnym liście.

Eugeniusz Paukszt

Wspomnienia i zwierzenia

Mam za sobą lekturę kilku tomów wspomnień, pisanych przez ludzi różnych zawodów, z większą lub mniejszą swadą literacką, z bogatszym czasem ładunkiem dokumentarnym, albo obywatelskim się bez niego — ale wszystkie te pamiętniki są w jakiś sposób pasjonujące i bardzo odkrywcze, nie tylko w odniesieniu do przeszłości, również i do dnia dzisiejszego.

Pracą najbardziej obok nurtu wspomnieniowego dokumentarną, wspartą o aparaturę naukową jest wydana przez Wydawnictwo „Śląsk” książka Jerzego Lubosa „DZIEJE POLSKIEGO GIMNAZJUM W BYTOMIU”. Po niedawnych publikacjach wspomnień

Baczeńskiego, obecnie otrzymujemy relację z dziejów gimnazjum

w Bytomiu, najpoważniejszej placówki kulturalnej Polonii w Niemczech przed wojną. Książka ukazuje wyraziście warunki, z jakimi zmagać się musiano dla utrzymania tej placówki, analizując jej pracę, w aneksach przynosi wykazy nazwisk, przy tym nie pozbawiona jest nutów wspomnieniowo-osobistych, co nadaje jej ciepłą barwę. Pozycja ważna dla każdego interesującego się poważniej dziejami Nadodrza.

A teraz wydany nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Lekarskich, inny w klimacie wspomnień, pamiętnik lekarza Mariana Łażyńskiego „STO LAT EEZ MAŁA”, obejmujący lata 1869—1956. Bardzo szczerze, bardzo humanistyczna w całej tonacji lektura, fragment losu Polaka, związanego uczuciowo z Podolem, w trakcie pracy zawodowej poznającego całą Ukrainę, potem dla odmiany całą niemal zachodnią Europę, a także Bliski Wschód. Masa ludzi, wydarzeń, zjawisk, ocen, aż wreszcie długie lata warszawskie, z Wrześniem i Powstaniem, pogodny rozrachunek z sobą i własnym życiem.

Są nazwiska wiążące się ściśle z jakąś dziedziną, od niej już nieodłączne. Takim jest nazwisko Tadeusza Wysockiego i wydany przez „Czytelnika” tom jej „WSPOMNIENI” znajdzie przysięgłych entuzjastów, których nie zadziwią te słowa autorki: „I gdyby trzeba było zacząć życie od początku, nie wybrałabym innej drogi, innego zawodu”.

„Wspomnienia” Wysockiej, urocze w bezpośredności, pasjonujące jako mała historia baletu polskiego, zaliczyć na pewno można do ciekawszych lektur pamiętnikarskich wydanych w ostatnich latach.

Równie gorąco zachęcam do lektury napisanego przez Krystynę Niechowską pamiętnika własnego ojca pt. „ANTONI UNIE CHOWSKI O SOBIE I INNYCH”, pięknie, z olbrzymią masą ilustracji znakomitego rysownika, wydany przez „Iskrę”. Lektura przerozkoszna, niepowtarzalna aura środowisk artystycznych dawnej Warszawy, anegdota goniąca za anegdotą, żart, czasem nutka sentymentu, zamyślenie, i

nad wszystkim panująca radość życia, po prostu Unie chowski, i dzisiaj niezmieniony, i dzisiaj popatrzący cy nieco po rabelaisowsku w świat.

Z przekładów w dziedzinie pamiętnikarsko-wspomnieniowej na pierwszy ogień prawdziwy rarytas, wydany przez „Czytelnika”. I to wspomnień Ilji Erenburga „LUDZIE, LATA, ŻYCIE”, częściowo znanych odbiorcom z fragmentów drukowanych w „Polityce”. W wydaniu książkowym teksty autora „Upadku Paryża” jeszcze zyskują na wadze. Zaczyna wielką kulturą słowa, świetny styl, co dopiero mówić o masie ludzi, wydarzeń, o obrazie opisywanych czasów. Erenburg w tomie tym obejmuje lata 1891—1917, czasy kijowskie, petersburskie, paryskie, ale często sięga daleko w przyszłość, jak przy kreśleniu wizerunku Picasa, ale polemizuje i z niejednym z dzisiejszym wyobrażeniem, pełen swady, nasyczonej pasją szczerości walki o nowy świat.

Wydawnictwo Literackie w Krakowie również zrobiło nam miłą niespodziankę, publikując „MOJA PROFESJĘ” Sergiusza Obrazcowa, niejako bilans ćwierci wiecza pracy tego jedynego w swoim rodzaju artysty, subtelne-go, zapamiętałego w szukaniu swej wizji ukazania świata poprzez lalkarstwo. Kapitałne są wynurzenia o kulisach zawodu, o jego trudnościach, o porażkach, których nie brakło, i sukcesach, których jest coraz to więcej. Przy tym Obrazcow niczego nie skrywa, nie zataja, ani ze swoich przeżyć, ani ze swego kunsztu, pozwalając wniknąć w jego „profesję” do głębi.

„Już w tej chwili zarysowuje się realna groźba, iż plany nie zostaną wykonane. Ba, już nie są wykonywane, przynajmniej, jeżeli chodzi o liczbę izb lekcyjnych. Rzecz w tym, że budownictwo szkolne jest piekielnie drogie. Drogi jest wyposażenie szkół, wysoki jest średni koszt izby, bo składają się na niego również koszty pomieszczeń pomocniczych, takich jak pracownice, kuchnie, szatnie, mieszkania nauczycielskie, sale gimnastyczne itd. I na to nie ma rady. Szkoła to inwestycja na wiele dziesiątków lat.”

Dalej autor pisze o konieczności stworzenia młodzieży wiejskiej równego startu z młodzieżą miast.

„Równy start to jednakowy program nauczania i jednakowa realizacja tego programu. Przynajmniej formalnie jednakowa, to znaczy przyjęcie zasady, że ten sam program wymaga tego samego wymiaru godzin na wsi i w mieście. I tu zaczyna się kwadratura koła. Nie mamy na razie dostatecznej liczby nauczycieli, aby ten postulat realizować. Stąd powszechnie stosuje się naukę łączoną: dzieci z różnych klas uczą się razem na jednej lekcji (...) Czy tak musi być, czy nie ma na to żadnej rady? O ile się orientuję w założeniach reformy szkolnej, liczone są z tą sprawą. Przygotowano nawet szereg wariantów projektu siatek godzin, która do minimum redukuje naukę łączoną (...) Tymczasem (...) znowu zaczyna pojawiać się magiczne słowo: oszczędzanie. Mówi się, że nie stać nas na godziny nadliczbowe, że trzeba się będzie ograniczyć itd. Jeszcze tylko jednej rzeczy brak: postulat oszczędzania — a kształceniu nauczycieli. Wtedy obraz będzie pełny i wtedy będziemy spokojnie mogli przerwać dyskusję o reformie szkolnej.”

Niepokojące sygnały. Zdając sobie sprawę z tego, że nie stać nas na luksusy, że ogromne sumy pochłaniają inwestycje gospodarcze, tym bardziej nie wolno dopuścić do oszczędzania na reformie szkolnej. Choćby dlatego, że od przebiegu reformy i sposobu jej realizacji zależą przecież także wyniki gospodarcze. Nie bez znaczenia dla wydajności pracy jest fakt czy wykonuje ją robotnik lepiej wykształcony czy gorzej przygotowany do zawodu.

LEKTOR

Z TEKSTU ST. MROWIŃSKIEGO



Bartłomiej Kurka
— artysta plastyk

do redakcji

W sprawie brzydkiej zabawy

„Myślę sobie czasem, co powiedzą o nas przyszli historycy. Jedno zdanie wystarczy dla nowoczesnego człowieka: „uprawiał nierząd i czytał dzienniki” — powiedział jeden z bohaterów Alberta Camusa.

Gotów jestem pójść na przykry kompromis i uprawianie nierządu uznać za sprawę osobistą — nauczony przykrym doświadczeniem, nie myślę mieszać się do niczych życiorysów. Ale fakt czytania lub nieczytania przez kogoś dzienników ma wybitne znaczenie społeczne. Dajmy na to — pan X dzienników notorycznie nie czyta i w związku z tym nie wie o zmianie linii tramwajowej. Czekając na przóno na „swoją” tramwaj, denerwuje się, psuje samopoczucie innym, spóźnia się do pracy etc.

Albo komu przyszłoby do głowy, że Nikosa Chadzinikolau można wymienić jednym tchem z Apollinaire’em, Conradem, Krauthoferem, gdyby nie przeczytał o tym w felietonie Bogusława Koguta „Brzydka zabawa” („Głos Tygodnia” nr 25 z 1. IV. 1962 r.).

Felieton poświęcony jest uczestnikom dyskusji „Jaki jest Poznań”, drukowanej swego czasu w „Głosie Tygodnia” za „Współczesnością”,

wyż. wymienionym twórcom oraz, w głównej mierze, niżej podpisanemu. Jego celem, o ile dobrze rozumiem, jest nauczyć taktu i kultury — ale już tylko niżej podpisanego. Przyjąłem z wdzięcznością i od dziś przyrzekam stosować na codzień wykwintniejsze i bardziej kulturalne zwroty z felietonu w rodzaju: „chcę, czy koniecznie „robię w literaturze”, a mówiąc o kimś „człowiek” — do dawać epitetów określających wiek.

A więc nasz w kwiecie lat człowiek robiący od dawna w literaturze Bogusław Kogut ma skłonność do obrony uciśnionych. Raz broni chłopca, którego wypędzono z lodowiska — innym razem — pokrzywdzonego Nikosa Chadzinikolau.

Po przeczytaniu felietonu „Brzydka zabawa” zrozumiałem, że jestem okrutnikiem, który obraża i stara się siłą wypędzić bezbronnego chłopca Nikosa z polskiej literatury.

Wiersze z tomiku „Barwy czasu” rzeczywiście nie podobają mi się, a jeżeli B. Kogut jest innego zdania, to rzecz gustu i dyskusji na ten temat możemy zakończyć jak Franc Fiszer dyskusję o istnieniu Boga — dając sobie wzajemnie słowo honoru. Jeżeli przytoczyłem dość powszechnie znane fakty z życiorysu Nikosa Chadzinikolau (listwa obwo-

luty tomiku „Barwy czasu”), to nie po to, aby „natrząsać się” lub argumentować swoją niechęć do jego poezji. Jako przeciwnik formalistów uważam, że tekstu literackiego nie można izolować od postaci twórcy.

Jestem też przekonany, że przyszli historycy literatury będą nicować ankietę personalną Bogusława Koguta, z czego on zapewne doskonale zdaje sobie sprawę. Krytycy robią to już dziś i nikt za to gromów na nich nie rzuca. Wiersze i życiorys poety z chwilą opublikowania przestają być jego prywatną własnością.

Wystarczyłoby zresztą doczytać moją recenzję do końca, aby wyjaśnić sobie, korzystając z przytoczonych przeze mnie cytatów, dlaczego nie podoba mi się poezja Chadzinikolau. A sytuacja emigranta budzi we mnie — proszę mi wierzyć — nie mniejszy szacunek i współczucie, niż tego mogę się domyślać, u p. Koguta. Natomiast zakochanie się w romantycznej tradycji literackiej — nie, bo romantyków nie lubię (też rzecz gustu).

Zgadzam się chyba z p. Kogutem co do tego, że nie życiorys, lecz wiersze świadczą o poecie.

WOJCIECH BURTOWY

skich prawach i obowiązkach. Chodzi tu przecież o wychowanie ludzi „świadomych miejsca jakie im przysługują w organizmie społecznym”.

Wstrząsająca ironia

W tym samym numerze Polityki znajduje się artykuł Aleksandra Rowińskiego pt. Nie przesładujcie zła zbyt uporczywie... Jest to wstrząsająca historia Stanisława G. i jego rodziny. Rzecz wydarzyła się w pewnym mieście wojewódzkim. Stanisławowi G. spłonega (w czasie pracy w spółdzielni) żona. Pozostał z dziećmi sam. Nikt się nie zainteresował jego tragedią, nikt go nie poczył o należącym się — w myśl przepisów prawa — odszkodowaniu. Mało tego, pracodawcy próbowali załuszczać swą winę! Początkowo mamili poszkodowanego obietnicami, a potem — kiedy już zapadł wobec winnych wyrok sądowy (prezes i kierownik techniczny dosłali po pół roku z zawieszeniem) — zagrali w otwarte karły i kołaczącemu o swoje prawa pokazali drzwi.

„Prezes dokonuje obrachunku.

— Nikt nie wróci życia spalonej; stało się, co się miało stać. Nikt nie zastąpi dzieckiem matki, trzeba się z tym pogodzić. Ile ona przynosiła do domu? Tysiąc trzydzieści złotych. Teraz Stanisław G. dostaje 300 na dzieci — odpada utrzymanie jednej osoby — zatem pieniędzy w domu jest więcej. Tak będzie aż do pełnoletności dzieci, dobrze finansowo. Więc czego jeszcze chce Stanisław G.?

W PZU wiedzą dobrze: najwięcej wypadków w spółdzielczości i przedsiębiorstwach budowlanych — i najczęściej poszkodowanym od tamtych wydobycie grozi. Zasłużony groź.

Wypadek ujawnił potworne zaniedbania w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. Artykuł jest adresowany przede wszystkim do działaczy związkowych, których świętym obowiązkiem jest obrona interesów pracujących. I to zarówno jeżeli chodzi o właściwe warunki pracy, jak i o opiekę nad poszkodowanym — opiekę

przeciwko bezdusznej biurokracji, nieudolności i lekceważeniu ludzkiej krzywdy.

Poproszę co łaska...

Taki tytuł nosi reportaż Danuty Majewskiej, zamieszczony w Tygodniku Demokratycznym. Autorka pisze o społecznym problemie żebractwa. Zaczyna od przykładów, których bohaterami są autentyczne osoby:

„Spotkać je można codziennie: na pryncypalnych ulicach stolicy, na odpuściach pod kościołami i na dworcach. Wzbudza ją litosć i współczucie. Mało kto zastanawia się jakie sprawy i problemy kryją się za ich postaciami. (...)

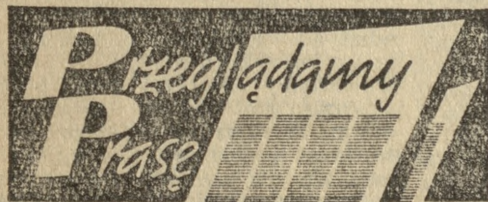
Dostawne tuż za rogiem, czasami na Nowym Świecie, czasami na Szpitalnej, pod sklepem z lnem albo w branie, pod kioskiem ze słodczymi, siedzi Antoni. Antoniego zna całe miasto, a jego skądś protezy zamiast nóg, wzbudza ją litosć każdego przechodnia. Czasami nie bierze zresztą protez, kiedy jedzie od siebie z Annapola, taksówką do śródmieścia. Bo Antoni, choć kaleka, w życiu nie zginił. No bo, skoro nie zginał wtedy, kiedy mając lat 18 spadł po pijanemu z tramwajowego stopnia i dostał się pod drugi wóz, nie zginił i teraz mając lat trzydzieści kilka.”

Jest ich w Polsce około 3 tysięcy. Jest ich znacznie mniej niż przed wojną czy krótko po wojnie. Sprawa ta jest jednak problemem.

Dopóki jedyną bronią wobec notorycznych żebraków (podobnie jak wobec prosiutulek) jest tylko perswazja, dopóty nie zwalczy się tego nałogowego zdobywania lekkich zarobków.

Niepokojące tendencje

W Przeglądzie Kulturalnym warto przeczytać — obok kilku innych pozycji (na przykład artykułu dyskusyjnego o polskiej anarchii Henryka Samsonowicza, korespondencji Edmunda Osmańczyka, felietonu Jerzego Putramenta) — artykuł Bogdana Gołowskiego pt. Cenz oszczędności. Artykuł ten poświęcony jest czekającym nas konieczności budowy nowych szkół i ich właściwego wyposażenia w związku z realizacją reformy szkolnej.



Polityka dla początkujących

Dariusz Fikus i Daniel Passent piszą w Polityce o konieczności zreformowania nauki przedmiotu dającego wiadomości o Polsce i świecie współczesnym:

„Do niedawna jeszcze, a czasami i dziś, praktyka nauczania tego przedmiotu polegała na tym, że dyrektor szkoły (on bowiem najczęściej był wykładowcą tego przedmiotu) z „gazetą” pod pachą organizował „prasówki”, zamieniając lekcję w nudną, odstręcającą „nasiadówkę”. W niektórych szkołach przydzielano owe lekcje tym nauczycielom, którym brakowało kilku godzin do pełnego wymiaru.”

Dzisiaj jest oczywiście lepiej, ale jeszcze nie tak, jak być powinno. Niewielu jest wśród nauczycieli takich, którzy chcieliby doskonalić się w tym ubocznym z ich punktu widzenia, przedmiocie. Zdaniem autorów należy, jeszcze przed wprowadzeniem reformy szkolniczywa w życie, przemyśleć kilka spraw. Przedmiot musi mieć określony profil, podręczniki nie mogą powstać przed ostateczną koncepcją, ośrodki metodyczne powinny pomagać, dostarczając indeksu pozycji prasowych do poszczególnych tematów. Jeżeli zaś chodzi o same podręczniki, to:

„ich autorami powinny być zespoły złożone ze specjalistów i pedagogów a nie dziennikarzy, pracowników naukowych i urzędników. Istniała kiedyś dobra praktyka organizowania konkursów na podręczniki, wario do tej praktyki powrócić.”

Tym uwagom można tylko przyklasnąć. Szkoła nie może wypuszczać w życie młodych obywateli niewiele mających pojęcia o swych obywatel-